

Eugenjusz Byrski

„Pstra krowa” przed wrotami abstrakcjonizmu

Otwarte konkursy artystyczne (malarskie, rzeźbiarskie, literackie, architektoniczne) są dotychczas, jak wiadomo, uznane za możliwie najlepszą formę wyróżniania talentów w danej dziedzinie. Człowiek współczesny styka się z nimi niemal na każdym kroku. Stanowią one bowiem nietylko sposób wydobycia na światło dnia prawdziwych wartości, nieobciążonych przywilejem — czegoś balastem — nazwiska już znanego, ale są znakomitą pomocą propagandy, odbywającą publiczne wykład sprawdzianów i obowiązujących w danej chwili kryteriów określonej galeji sztuki. Dotyczy to w równej mierze konkursów ścisłe artystycznych, jak np. literackich lub z zakresu plastyki, czy też nawet — toutes proportions gardées — sportowych: konnych lub łyżwiarских.

(Problem bezbłędne parcours na hippodromie nad kilkunastoma przeszkodami, którego elementarnym sprawdzianem jest zgranie ominięcia poprzeczki i utrzymanie trasy, komplikuje się z chwilą uzyskania równych — w zasadzie — wyników przez szeregi współzawodników. Z tą chwilą zagadnienie ustalenia faktu i stopnia wyższości jednego konkurenta nad drugim przenika lekko w sferę pobierczy estetycznych: piękności biegu, t. zw. stylu i domaga się stosowania oceny ponadmateriałnej).

Wartość propagandowa tego rodzaju emulacji dla danej techniki (i nietylko dla przykładowo wymienionej techniki jazdy konnej), jest niewątpliwa. Na czym ona polega? Na uzyskaniu, zgodnego z głosem komisji sędziów, wyroku publiczności, a więc zespołu laików, który to zespół tego rodzaju pokazy wychowują, urabiają w kierunku uzyskania oceny niezależnej, drogą przedewszystkiem porównań.

Jeżeli cytujemy tutaj znane czytelnikom te banalne prawdy, to dlatego, że trafne metody wychowawcze, tkwiące u podstaw tego rodzaju „szkoły” publicznej, nie przeniknęły jeszcze w niektórych sfery sztuki, lekce sobie, jak widać, ważące analogię ze sposobami popularyzowania sztuki „wyższej szkoły jazdy”.

Niemal konieczności zresztą uciekać się aż do tak drastycznych dla oka i ucha artystycznego porównań. Zorganizowany ostatnio konkurs na najpiękniejszy portret kobiety, gromadzący w salach Zachęty licznych widzów, jest widomym znakiem możliwości propagandowych, zdolnych pozyskać sympatię szerokich kół dla zmagających mistrzów palety z wielką, jak się okazało, oporną i trudną techniką malowania portretu. Mógłby wprawdzie ktoś zrobić zarzut, że ogólny poziom wystawy i zainteresowanie publiczności, idące raczej w kierunku odnajdywania najpiękniejszego, czy też najbardziej pikantnego modelu, są złą propagandą.

Niewątpliwie, stowarzyszone w jednym zespole jury, kwalifikujące prace na wystawę, tak niezwykły nawet jak na nasze stosunki, brak smaku w połączeniu z przesostem kwalifikacji czysto komercyjnych, sprawiają, że widz czuje się nieco zażenowany charakterem tych „gustownych” dzieł, zajmujących w wielu wypadkach dobrych parę metrów kwadratowych płótna. Na domiar złego samą ideję konkursową spazono w zarodku przez był już brukowy pomysł odwoływania się do opinii publiczności. Jeśli chodzi o cel pedagogiczny, wychowawczy tego rodzaju prymitywnej reklamy, — stanowi on posunięcie fatalne, w naszych warunkach nawet groźne dla ogólnego stanu kultury. Wiktor Podolski w sprawozdaniu z wystawy pisze słusznie: „Istnieje wiele powodów, dla których docenianie opinii publicznej i nawiązywanie z nią kontaktu uważam za wskazane, gdy się ma jednak do czynienia z rzeszą widzów, trzeba być pedagogiem. Ze wszystkich konkursów, jakie można sobie wyobrazić, właśnie ten (t. zn. przez głosowanie publiczności, p. a.) najmniej się nadaje do celów wychowawczych”. (ABC, czwartek, 8 marca 1934 r.).

W rezultacie jednak masy kulturalne zostały poruszone, podatne do kontemplowania malarstwa, mimo wadliwie zaaplikowanej podniety, skłonne, być może, do przyjęcia racjonalnej krytyki. Tylko, że u nas nikt się nie kwapi oświecać ubogich duchem. Krytyka zdeklarowanie trzeźwa oświadcza krótko: kicze. „Prokese” malarstwa deklamują konwencjonalne frazesy i w sprawozdaniach recytują twórców po kolei, nie opuszczając, broń Boże, nikogo.

Pozbawiony busoli krytycznej, mętnie, a często i fałszywie zorientowany przez recenzenta, widzi, o ile, oczywiście, rozporządza choćby minimalną kulturą malarstwa, usiłuje obronić się odważnie przed sugestią wspaniałej toalety portretu Styki i wycisnąć z siebie jakąś opinię samodzielną. Bądźmy szczerzy, — nie udaje się mu to zazwyczaj.

Grzechy krytyki zawodowej, cokolwiekby tu się powiedziało na niekorzyść naszej t. zw. publiczności kulturalnej, są niewybaczalne. Obowiązki względem mas, sprowadzające się w pierwszym rzędzie do możliwie prawdziwej informacji, referowanej obiektywnie i rzeczowo, w języku prostym, dostępnym i możliwie zrozumiałym, są gwałcone i negligowane niemal z reguły. Teatr, kino, literatura, malarstwo, wszystkim tym dziedzinom zbywa niemal do cna na uczeiwej służbie informacyjnej. To, co recenzentka dziennika stołecznego potrafi napisać, np., w sprawozdaniu z „Hamleta”, halucynacje, ujęte w formę recenzji filmowej ze znanego obrazu, idącego na zero ekranie — nasuwają zgola nonure myśli.

W rezultacie, nawet wówczas, gdy możliwości dydaktyczne i propagandowe konkursu artystycznego są rozleglejsze, niż w wypadku zwykłego koncertu, czy wystawy, w przeważnej większości wypadków publiczność zdana jest na własną opinię. Przedsta-

wicie krytyki oficjalnej rozgrywa najczęstszą batalię personalną, korzystając z rzadkiej — dla nich — okazji wpięcia jeszcze jednej szpilki w przeciwnika. Wszakże zmarnowane i pominięte z lekkim sercem okazje nie powtarzają się tak często.

II.

„Nędza bogów, t. j. nędza ideałów odbić się musiała na sztuce i na jej twórcach, pozostających bez miejsca i, pomimo hałasu wokół nich czynionego — bez publiczności”.

Nietzsche nazywa człowieka współczesnego „pstrą krową”. Istotnie przeciętny Europejczyk wypasa się na wszelkich pastwiskach, byle karm była obfita. Dobry apetyt niema jednak nie wspólny z dobrym smakiem, którego warunkiem jest wybór i ograniczenie. Dziś mało kto wybiera, albowiem nie wie, kim jest i czego żąda, żąda więc wszystkiego.

„Czy współczesny Europejczyk ma w ogóle czas napawać się, podziwiać, zastanawiać, czy może być abstrakcją?” (Dr. A. Lauterbach, „Pierścienie sztuki”). Pozostawienie publiczności samopas, co najwyżej posturkiwanie jej dowiecipem recenzentem, jak to u nas się zdarza w dziedzinie teatralnej, ze sprawą pedagogiki kulturalnej nie ma, rzecz jasna, nic wspólnego. Żyjemy w warunkach trudnych, trudnych nietylko materialnie, to prawda. Czy jednakże brak odpowiedniej podniety, reklamy trzeźwej i umiejętniej, nie jest przyczyną, że muzea świecą pustkami, a wartościowa książka nie znajduje konsumenta?

Próbną biadą nad upadkiem kultury, skoro się palcem nie rusza, aby wychować sobie jej odbiorcę. Wystawa drzeworytów, zorganizowana przez IPS, cieszyła się dużym i zasłużonym powodzeniem, dzięki trafnej reklamie. Stowarzyszenie filmu artystycznego „Start” urządza co pewien czas pokazy, na których w sposób przejrzysty podawane są publiczności przykłady harmonijnie skomponowanego tworzywa sztuki filmowej, opatrzone doraźnym komentarzem. Znaczenie tego

rodzaju imprez, na których publiczność kształci się i wychowuje — jest kolosalna. Ocenę je każdy, kto znajdzie się w tłumie, nie powodowanym snobizmem, ani żadnymi względami materialnymi, jednym słowem, wśród tych, którzy szukają podniety estetycznej.

Trudną rzeczą, oczywiście, jest wdrożyć z miejsca podziw dla jakiejś, choćby wysoce wartościowej, rewelacji; ale też trudno oszukać. Niewdzięczna, być może, jest rola nauczyciela: aleć przecie niesposób, nieznając elementarza, samemu nauczyć się czytać. Jeśli okazałoby się, że przed przeciętnym Europejczykiem istotnie są obecnie zamknięte wrota abstrakcjonizmu, nie małą winę za taki stan rzeczy ponieśliby ci, którzy z tytułu swoich stanowisk i wiedzy, obowiązani są starać się otworzyć je przed nim naścieżką. Ukazać mu widniejącą za nim jedyną drogę, wiodącą od barbarji do przedśionka wyższej kultury — drogi nowych, nieznanych mu dotąd możliwości przeżycia artystycznego.

III.

Jednym z najlepszych regulaminów konkursowych jest, jak wiadomo, regulamin konkursów architektonicznych, opracowany i patronowany przez Związek Stowarzyszeń Architektów. Szczegółowe przepisy, normujące tok i procedurę postępowania opiniodawczego, ujednolajnienie warunków, zapewniających możliwie bezstronną i prawidłową ocenę jury, osoby sędziów, powoływane w wyborze walnych zjazdów, — wszystko to sprawia, że architekt, wysyłając swe prace na konkurs, jest — zgruba — przynajmniej — zorientowany w szansach dojścia do eliminacji.

Charakterystycznym momentem procedury jest obowiązek, ciążyący na sędziu, urządzenia wystawy publicznej projektów, po przyznaniu wyróżnień i nagród, a przed

otwarciem kopert z nazwiskami, — w celu dania możliwości reklamowania skarg na niewłaściwą klasyfikację. Chodzi tu o możliwość niedopuszczenia do wyróżnień prac, posiadających ukryte braki formalne, niezgodnych z warunkami rzeczowymi, zawartymi w treści konkursu, a niedostrzeżonymi, lub zlekceważonymi przez jury. Reklamować można bezimiennie.

Musimy tu nadmienić, że widz ma możliwość zapoznania się na tej wystawie z opinią sądu, uzasadniającą przyznanie takiej, a nie innej nagrody, lub też z wyliczonymi powodami odrzucającą pracę. Wszystko to rzecz oczywista, nie daje absolutnej pewności sprawiedliwego ferowania opinii, zwłaszcza w niektórych konkursach urbanistycznych, przedstawiających dość zawile spłoty zagadnień technicznych z jednej, artystycznych z drugiej strony, których całość trudno jest sędziom ująć w lapidarnym skrócie, załączonym do protokołu.

Wszelako zainteresowanemu widzowi drogą elementarnego porównania nie trudno jest dociec zdecydowanej przyczyny — o ile taka istnieje — przewagi jednego projektu nad drugim.

Przy tego rodzaju procedurze mogłaby z takiej wystawy uczynić niebylegkie dzieło propagandy architektury wśród wykształconej publiczności. Jest rzeczą jasną, że pomiędzy wystawą projektodawców urbanistycznych, a wystawą główek w „Zachęcie” zachodzi pewna różnica. Plan domu jest trudniejszy do odczytania dla przeciętnego śmiertelnika, niż ocena sekretów urody kobiecej pani V. B., przenikającej wzorzysty, ale przezroczysty welon portretu Rudnickiego.

Umiejętności klasyfikowania, jeśli chodzi o temat — w jednym z tych wypadków nabiera się nie jako „samoistnie”, gdy czytania

planów architektonicznych trzeba się nauczyć drogą pewnych rozważań teoretycznych. Jest to jednak rozbieżność tylko pozorna, narzucona nam tu przez niewłaściwe ujęcie konkursu malarzkiego Zachęty, o którym mówiliśmy wyżej.

Widzowi wykształconemu nie trudno zrozumieć, że może istnieć zły portret pięknej kobiety, jak i piękny — brzydki. Odcyfrowanie sekretu znaków graficznych w projekcie architektonicznym poprzedza zdobycie w duszy widza pewnej określonej wizji, której projekt ów jest rysunkowym odwzorowaniem, rzutem graficznym, po czym dopiero nastąpić może krytyczne ustosunkowanie się do tematu. I w jednym i drugim wypadku patrzący musi dojść naprzód do umiejętności czytania, która jest sui generis „progim” świadomości artystycznej.

Mimo to, oczywiście, można być zdolnym do kontemplowania architektury (żywej), nie umiejąc czytać planów. Człowiek kulturalny, pozbawiony wszakże możliwości nabycia elementów tej wiedzy wskutek braku odpowiedniej propagandy, traci klucz do wielu istotnych problemów współczesności, nierzadko zmuszony stanąć poza nawiasem rozrywkę, tam, gdzie chodzi o sprawy często mu bliskie, najbardziej żywotne.

W roku zeszłym w popularnym miesięczniku architektonicznym czytaliśmy głosy racjonalnej krytyki takiego stanu rzeczy:

„Konkursy publiczne są dobrą i rzadką okazją do propagandy zawodu architektonicznego wśród społeczeństwa...”

„Należy przeto specjalną uwagę zwracać na odpowiednie zorganizowanie wystawy konkursowej. Dotychczasowy stan wykazuje znaczne braki. Niejednokrotnie brak jest w prasie nietylko recenzji i artykułów, lecz nawet wzmianek o otwarciu wystawy. Niekiedy wzmianki takie ukazują się po czasie, a mianowicie po zamknięciu wystawy, tak, że nietylko szersza publiczność, lecz nawet architekti nie mają możliwości obejrzenia tych wystaw...”

„Oby też stowarzyszenia architektoniczne zdobyły się na utworzenie swego nietylko P. A. T. ale P. A. A. (Prasowej Agencji Architektonicznej) i oby do propagandy architektury udało się skaptować pióra, na przykład, Adolfa Nowaczyńskiego, Zygmunta Nowakowskiego, Boya lub Sęka...” (L. Tomaszewski. Otwarte konkursy architektoniczne i urbanistyczne, „Architektura i budownictwo”, Warszawa, nr. 5, 1933, str. 151).

W grudniu tego samego roku sygnalizowaliśmy w „ABC” literacko-artystycznym bliskość terminu rozstrzygnięcia konkursu na domy wielopiętrowe, organizowanego przez Bank Gospodarstwa Krajowego. Wystawa projektów była dostępna dla publiczności w ciągu trzech dni. Wzmianki, drukowane petitem, w złych miejscach dzienników, po czasie, trudno uważać za prawidłową informację. Mamy zatem powody sądzić, że istniały ważne powody, dla których tak tajemniczo zakonspirowano plan konkursu przed okiem ciekawych w uczęszczanym, wprawdzie w innych celach, gmachu przy zbiegu Nowego Świata i al. Jerozolimskich.

Przedewszystkiem architektura zwraca się o pomoc propagandową do piór Nowakowskiego czy Nowaczyńskiego. Naprzód sami architekti muszą „oczyszczyć teren” ze zbędnych oparów ezoteryzmu (w pewnym zakresie architektura, rzecz jasna, musi pozostać ezoteryczną), zbliżyć pracę projektodawczą architektki do publiczności, zainteresować nią kulturalnego widza i czytelnika.

Wówczas literatura i publicystyka współczesna sama odnajdzie ów „ton, co tępem jest stulecie”. Przerwana pieśń o architekturze, na tylu kartach powieści śpiewana niezapomnianym słowem Stefana Żeromskiego, podjęta będzie znów, dziś już jutro. Taka jest wiara tych, dla których idea „Szkłanych domów”, zrodzona z natchnienia poety, jest czymś więcej, niż czczym mitem, lub poetycką legendą.

K. M. Morawski

Betleem mazowieckie

(Bunikiewicz Witold: „Wesoła nowina. Misterjum Bożego Narodzenia w sześć obrazach”. Wydawnictwo „Dobra Prasa”, Warszawa, Nowy Świat 39).

„Betleem polskie” ma już piękną kartę swoją w naszej historii literatury. Lat temu będzie blisko trzydzieści, w przeddzień niemal, w wigilię „wielkiej wojny”, wyczarowywał z desek teatru krakowskiego poeta katolicki, lirnik małopolski, Lucjan Rydel, epopeję „wiary” rycerskiej, nadziei powstańczych i miłości patriotycznej — na tle Wawelu, wieży Marjackiej i szopki z Sukienki.

A kilka lat wprzód, rówieśnik jego, Stanisław Wyspiański, inny poeta głęboko katolicki, Calderon Północny, przesycał naszostrojem jasełkowym, blaskiem z Betleem, jeden z finałów swojego „Wyzwolenia”.

Na długo zaś przed nimi dwoma, trzech dawniejszych twórców romantycznego pomazania: prekursor wlotów religijnych naszych wieszczów, Karpiński, a dalej sam Mickiewicz i Słowacki dali nam: pierwszy — liryczny transpozycję kolendową poloneza koronacyjnego naszych królów, ostatni — pełną sarmackiej swojskości kolendę ze „Złotej Czaszki”, Mickiewicz zaś — chronologicznie tylko z nocą wigilijną związane posiedzenie w celi Konrada.

W lat bezmała trzydzieści po owym Rydlowem „Betleem polskim” (czy raczej małopolskim) występował nam inny szczerzy poeta, który zaś lirnik mazowiecki, ale zarazem „kombatant wielkiej wojny”, w świetnie regionalnym swoim „florilegium” („Rapsod mazowiecki”, Poznań, Wegner) kolendę, która — po dalszych kilku latach — rozrosła się i udratyzowała w misterjum.

Opiewa w niem Bunikiewicz mazowszan swoich, idących na

odsiecz zagrożonemu na Gólgocie Chrystusowi, idących zaś poprzez próby i zasadzki, poprzez gąszcze i ostępy:

„Jezus zrodzon w Betleemie, — woła [jeden z tych mazurów] Otoczony wkrąg wrogami, Biedę cierpi, w tajni drzemie Między kołami i wolami. Na ratunek, mazowszanie, Chrystus skonać w nędzy może, Przygotujcie panowanie Jezusowi w jakim dworze!”

Ale w tej cizbie, co wędruje ku Betleemowi i Jerozolimie, dużo jest powołanych, a mało wybranych. I tak nielato dotrze do sta-jenki dumny król Kasper, co „za-miaś wędrować pokornie, w koronie jedzie i dwornie”, ani rozpieszczony w egotyzmie i hedonizmie król Melchior, a za to czar-ny, jak heban, ale z jasną duszą, król Baltazar.

Idą więc naprzód pielgrzymi,

Tannhäuserzy te polskie, wskroś przeleżyca tatrzańskich na południe. A szatan coraz to nowe przeszkody ciska im na drogę. Raz, smok ten djabełski, przybierze na siebie postać Mośka - pachciarza (niedość zresztą konsekwentnie, zdaniem naszym, przez autora narysowanego), to znowu rozmnoży się pomiotem zbrojnickim, negującym młode Płuczkanki niezem kwiaty żywe Parsifala i porywającym z sobą gromadę pielgrzymią w tan chochołi. Jeden tylko Baltazar pozostaje przytomny i świadomy złud i omanów djabełskich.

„Świat ten przyciąga i rozprasza, — [mówi do towarzyszy ostrzegawczo, Choć wiece, kędy droga wasza, Pedziecie wprost, na oślep, w zgubę Mamiań uciechy, zmysły grube I cel najświętszy mgłą zacięła, Nie odnajdziecie Zbawiciela!”

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACJI KSIĘGARSKICH

ADAMIECKI: Gospodarcze znaczenie bezpieczeństwa pracy. 80. Str. 32. Warszawa, 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 1.

ARCT M.: Słownik wyrazów obcych 33.000 wyrazów, wyrażań i przysłów cudzoziemskich. Wyd. 12 uzupełnione. Pochođenje wyrazów i wyjaśnienia wstępne opracował prof. H. Ułaszyn. 80. Str. XII, plus 402. Warszawa, 1934. M. Arct. Zł. 12.

AUGUSTYN św.: Państwo Boże. II ks. VIII — XIV. Tłum. ks. W. Kubicki. 80. Str. 402. Poznań, 1934. J. Jachowski. Zł. 16.

BAL A. inż.: Gospodarka mleczna. Mleko i jego produkcja, sprzedaż i użytkowanie z 34 rys. 80. Str. 79. Warszawa, 1934. Księgarnia Rolnicza. Zł. 2.

BOJKO A.: Ustawa o czasie pracy w przemyśle i handlu. Tekst ustawy obowiązujący od 1. 1934. 169. Str. 84. Warszawa, 1934. Księgarnia Prawnicza. Zł. 1.50.

BOJKO A.: Ustawa o urlopach dla pracowników zatrudnionych w przemyśle i handlu. 169. Str. 56. Warszawa, 1934. Księgarnia Prawnicza. Zł. 1.20.

BRONIKOWSKI W.: Drogi postę-

pu prof. W. Grabskiego. 80. Str. XV, plus 384. Warszawa, 1934. Księgarnia Rolnicza. Zł. 6.

BRZOSKO ST.: Jak założyć i prowadzić pasiekę. Z 9 rys. 80. Str. 47. Warszawa, 1934. Księgarnia Rolnicza. Zł. 0.90.

ERECINSKI T.: Prawo przemysłowe m. Poznania w XVIII. 80. Str. 853. Poznań 1934. J. Jachowski. Zł. 25.

JERICH Józef dr.: Kapitał akcyjny. 80. Str. 80. Warszawa, 1934. F. Hö-sick. Zł. 5.

MORAWSKI M. ks. dr. prof.: Monografia Włocławka (Włocławca) z 38 ilustr. 80. Str. XIV, plus 439. Włocławek, 1933. Księgarnia Powszechna. Zł. 10.

NEHRING E.: Zasady łyżwiarstwa z 49 rys. 80. Str. 138. Warszawa, 1934. Główna Księgarnia Wojskowa. Zł. 2.80.

NOWICKI Wł. inż.: Bilans ziemio-plodów w gospodarstwach włościańskich w latach 1926-7, 1927-8 i 1928-9. 80. Str. XV, plus 186, 66. Warszawa, 1934. Księg. Roln. Zł. 4.50.

OSSENDOWSKI F. A.: Afryka. Kraje i ludność. 80. Str. 69. Warszawa, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.

W drodze zaostrażają się w dodatku przeciwności regionalne (Małopole nie wadzą się tak z Kongresowiakami); na zaś ich sarmackie, słowiańskie, męskie i kobiece te słabości czyha Herod, przemożny satrapa - okupant, wabiący ich na manowce, do spółki ze swoimi żydowskim bankierem, który tak przemawia do jednego z chłopów:

„O, gospodarzu, co robicie? Chodzi o wasze drogie życie. Przed potężnymi człowiekiem gnijcie, Zarobicie na tym interesie!”

I tak ciasną ścieżką kroczą dalej wspólnie Mazurzy nasi i Górale i, pod wodzą Baltazara, posuwają się szlakiem ciernistym ku krainie,

„Gdzie niebo nigdy się nie chmurzy I niema zdrady, niema złości, Wszystko spojone wkrąg miłości Pachnie kadzidłem i kwiatami... Gdzie cenniejszym złotem ich zaplata, Którego nie tkną już złodzieje, A wieczna dobroć ich ogrzeje!”

Ale nim się to stanie, czeka „wiare” mazurską ostatnie i najcięższe drogi krzyżowej widome przeżycie:

Gurda: Chodźcież, o chodźcież, pątnicy, Pan nasz przed sądem Piłata Krawym się potem okrywa

Chrystus pod krzyżem upada Krwią świętą głowa ocieka

Chrystus u stóp już Gólgoty, Wstawajcie przedzi, pielgrzymi. Korowód sunie olbrzymi...”

Gdy się wszakże rozegrać ma właściwy dramat Gólgoty, gromadą zdążającą na odsiecz owłada na nowo gruby sen zmyśłów. Jaski i Jagi kręcą się w zaczerwianem kole domowych trosk i pożądań, i naprośno budzi ich z omanu tego rapsod - lirnik:

„O, Mościem — w słońca złocie Trzy krzyże widzę na Gólgocie, Gwóźdźmi mu zadają rany, Hej! do berdysza, Mazowszany! Naprzelaj, biegiem do odsiecz! I jeszcze się Jezus z ran wyleczy!”

Takim akordem, jakby z Krasieńskiego „Legendy”, kończy się nowy ten „Rapsod mazowiecki”.